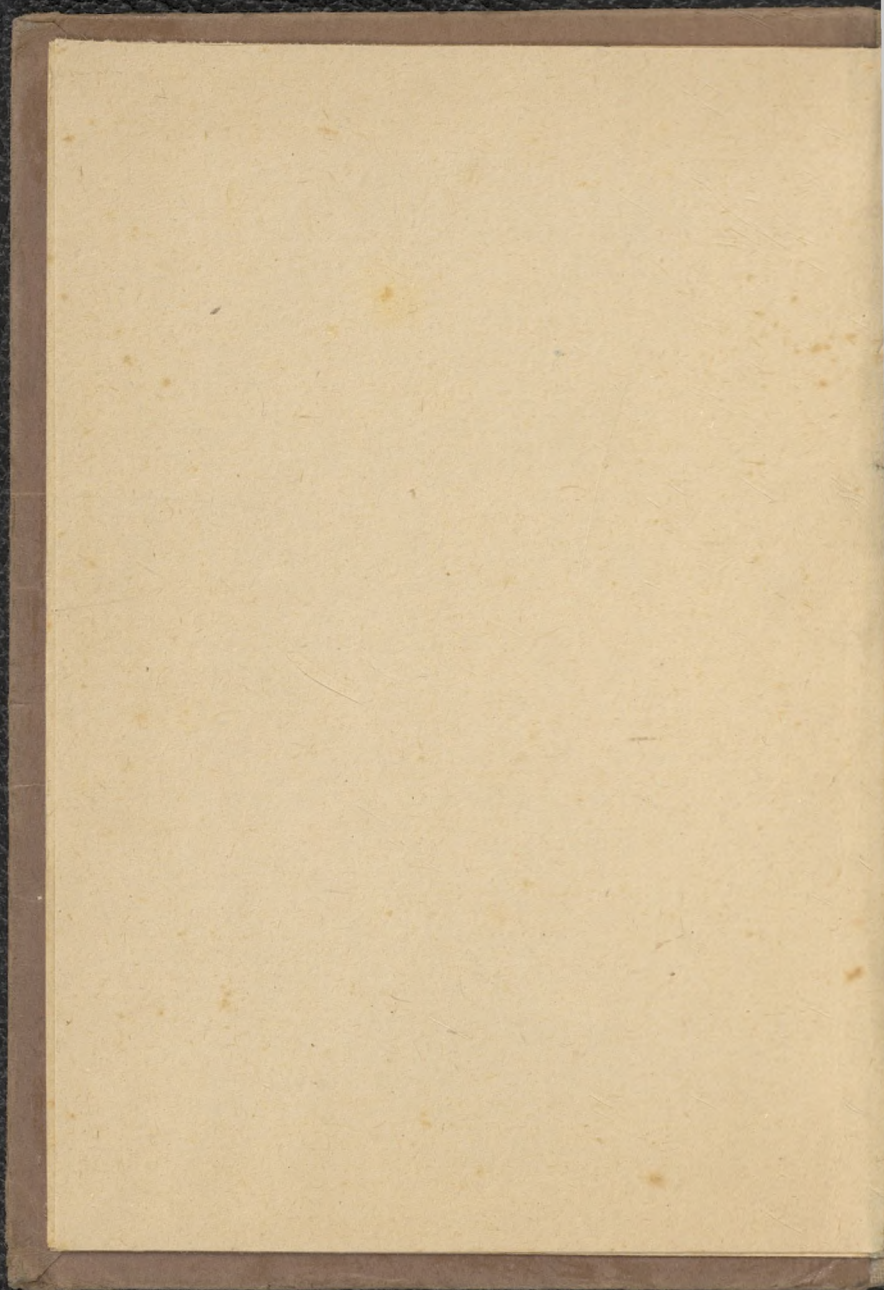
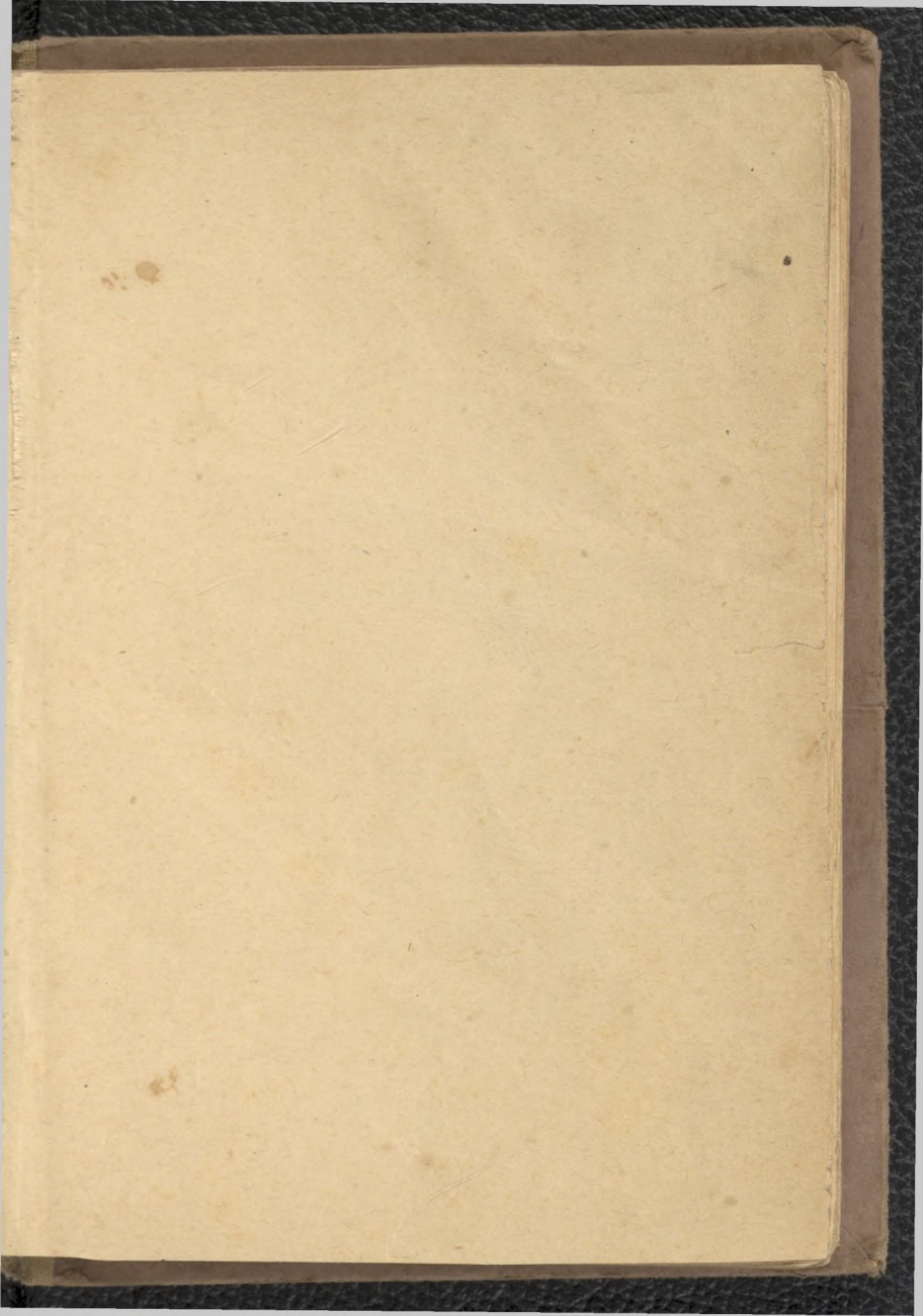


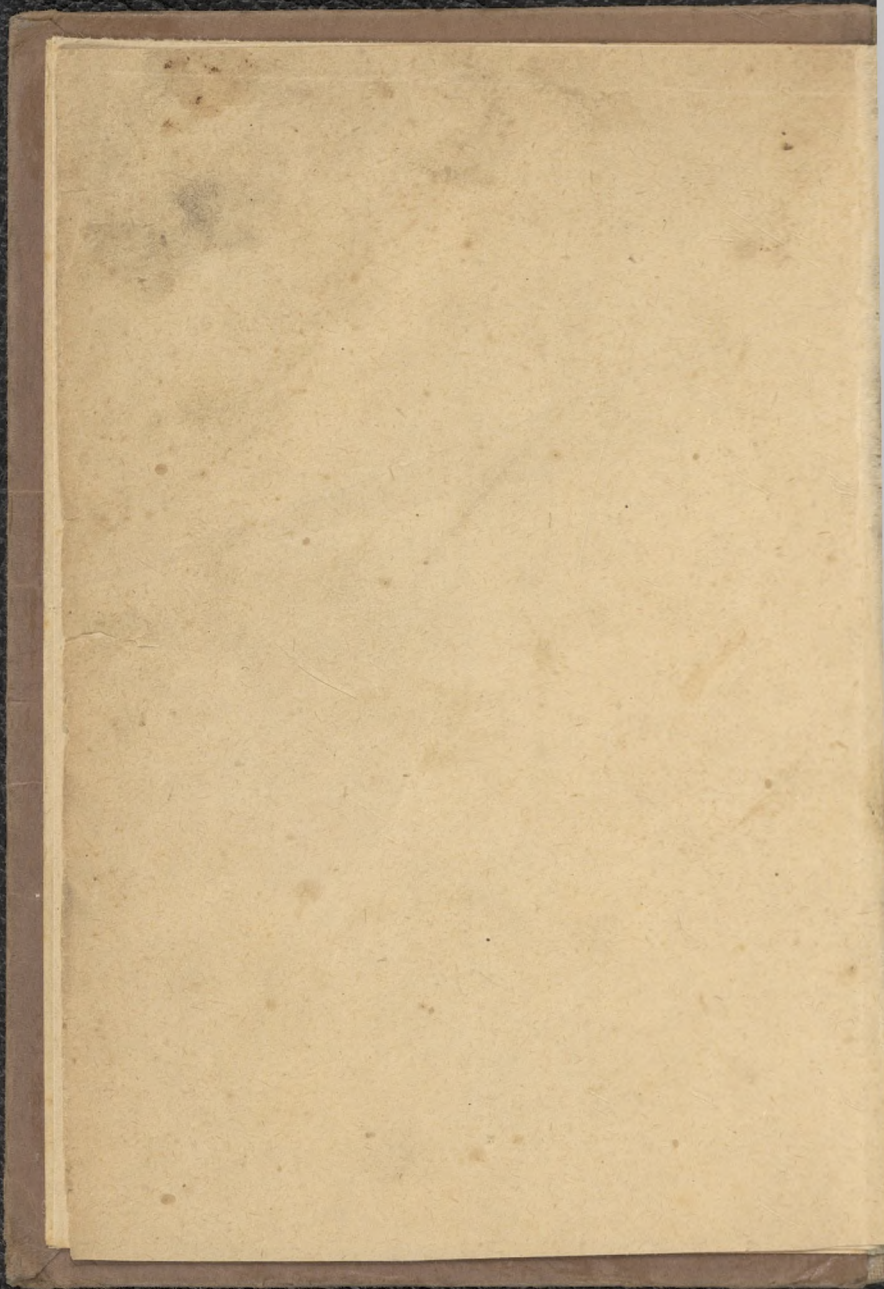
# ZAKŁĘTA KRÓLEWNA



ORAZ INNE BAJKI  
PRZEŁOŻYŁ  
FR. MIRANDOLA




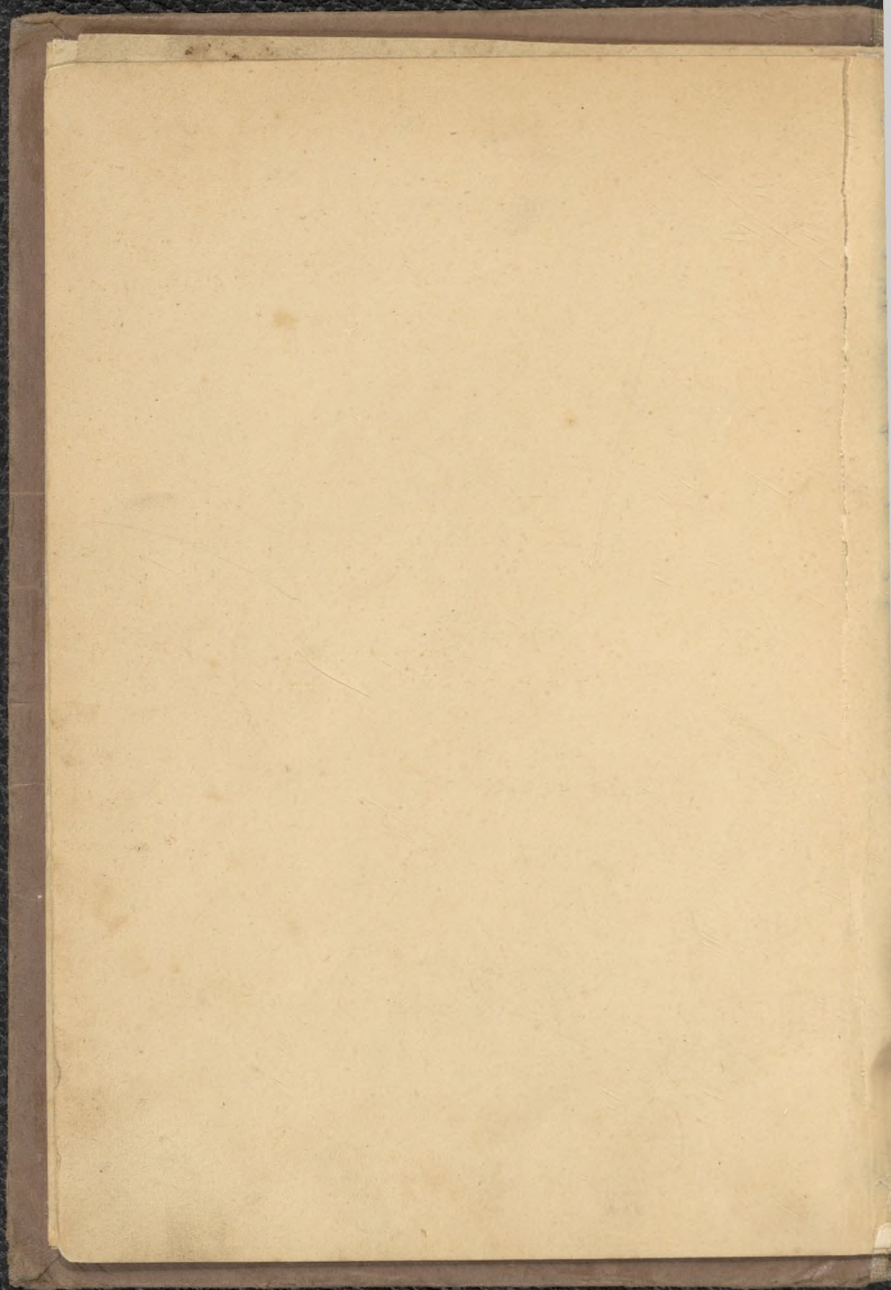




Rymarczykiowa Teresa.

ZAKŁĘTA KRÓLEWNA.





BIBLIOTEKA  
\* EN \*  
NARODOWA





# ZAKLETA KRÓLEWNA

ORAZ INNE BAJKI

PRZEŁOŻYŁ

FR. MIRANDOLA

WARSZAWA

---

KSIĘGARNIA LITERACKA



3.116.050

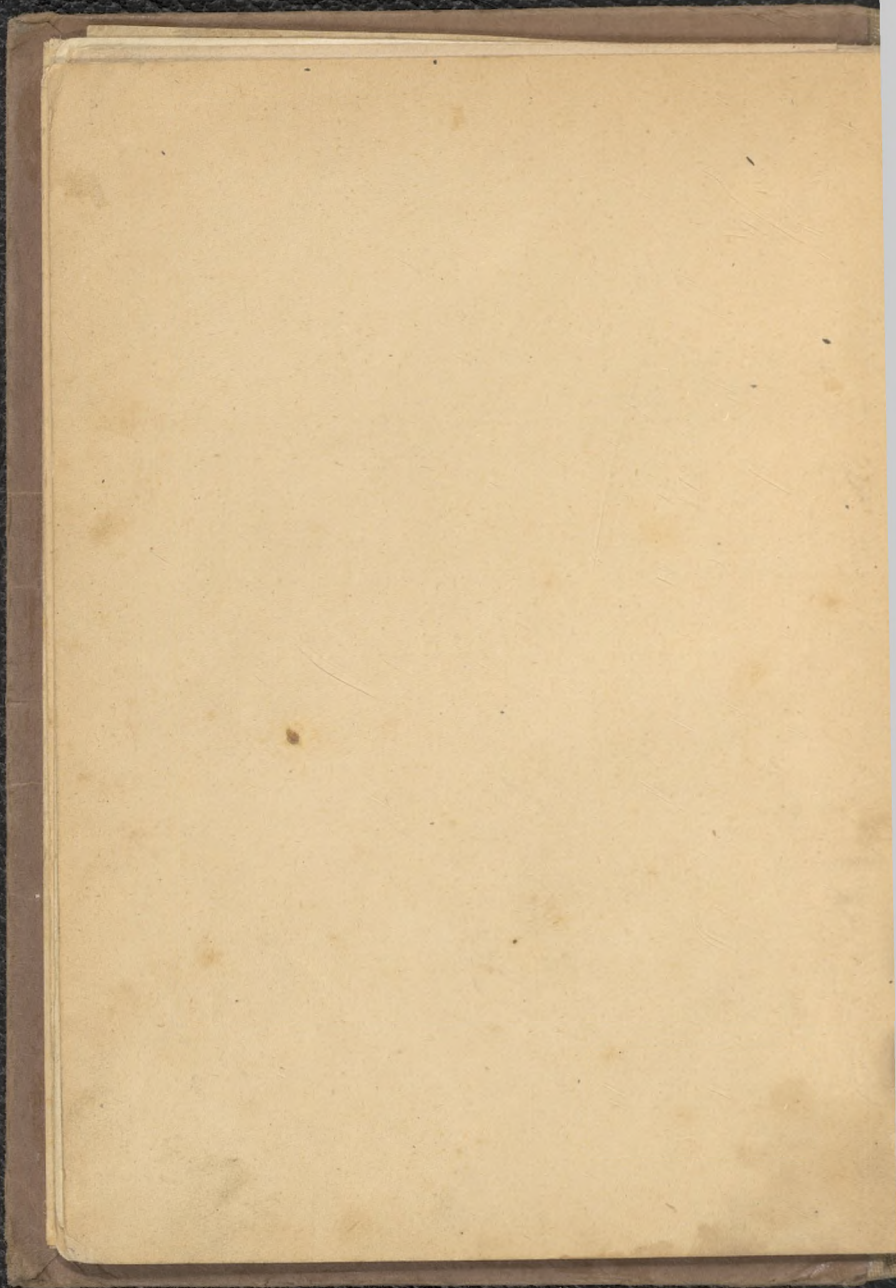
DRUKARNIA „LINOLIT“ WARSZAWA



2019K 329/21

## SPIS RZECZY:

	str.
Zaklęta Królewna . . . . .	9
Co robiły myszy . . . . .	16
Wilk i siedm koźłat . . . . .	45
Cudowny stolik, osieł i kij . . . . .	54
Bałwan ze śniegu . . . . .	69



## ZAKŁĘTA KRÓLEWNA

Zyli sobie niegdyś król i królowa. Chcieli mieć koniecznie dziecko, a nie mieli. Pewnego dnia kąpała się królowa w rzece, nagle ujrzała żabę na brzegu.

— Królowo, — rzekła żaba — spełni się pragnienie twoje! Będziesz miała, do roku licząc od dziś, córkę.

Spełniły się wiernie słowa żaby, w ciągu roku przyszła na świat córka, a król wydał z radości ucztę wspaniałą. Zaprosił krewnych, znajomych, a także wieszczki, by zapewnić córce szczęście. Chciał je król uhonorować bardzo, postanowił tedy, że

będą jadły na złotych talerzach, ponieważ jednak miał ich tylko dwanaście, przeto nie zaprosił wieszczki trzynastej, by nie budzić jej zazdrości.

Przyjęcie odbyło się wspaniale, po uczcie obdarzyły wieszczki królownę hojnie, dając jej piękność, cnoty, bogactwo i różne rzeczy. W chwili, kiedy jedenasta wieszczka wypowiedziała swe czarodziejskie słowa, nadeszła nagle wieszczka trzynasta i zawołała pełna złości, nie witając się wcale:

— Skończywszy piętnaście lat, królowna ukłuje się wrzecionem i umrze.

Wszystkich ogarnęło wielkie przerażenie, a wieszczka dwunasta powiedziała:

— Mogę tylko wyrok złagodzić, królowna nie poniesie śmierci, ale zapadnie w sen stuletni.

Cheąc uchronić córkę od nieszczęścia, kazał król spalić wszystkie wrzeciona w

całym kraju. Królowna, obdarzona hojnie przez wieszczki, była piękna, mądra, rozumna, pobożna i budziła życzliwość wszystkich ku sobie.

Zdarzyło się, że oboje królestwo musieli wyjechać w dniu, kiedy królowna skończyła lat piętnaście i została w zamku sama. Dla spędzenia jakoś czasu, chodziła po starych, nie używanych komnatach i zaszła w końcu na wieżę. Wąskie schody kamienne wiodły tam, a gdy otworzyła drzwi izdebki, zobaczyła staruszkę przedzającą pilnie len na staromodnym, zabronionym w kraju wrzecionie.

— Dzień dobry babuniu! — powiedziała grzecznie. — Cóż to robisz, babuniu?

— Przedzę sobie, — odparła staruszka, skinąwszy jej głową.

— Cóż to za przyrząd, który się kręci tak wesoło? — powiedziała królowna i

wzięła wrzeczono w rękę, chcąc prząść. Ledwo go jednak dotknęła, ukłuła się w palec, jak powiedziała rozgniewana wieszczka.

W tej chwili upadła na obok stojące łóżko i zapadła w sen, a sen ten objął po kolei wszystkich, w całym zamku. Król i królowa, którzy wrócili w tej właśnie chwili, zasnęli na sali, w postawie stojącej, a wraz z nimi zasnął cały dwór, konie w stajni, psy, gołębie na dachu, nawet muchy na ścianach. Sam ogień na kominię zasnął, a przy nim kucharz, który właśnie ciągnął za włosy kuchcika, kuchcik spał też i przez lat sto trzymał go tak kucharz za włosy. Zasnęła pieczeń na blasze i wiatr w parku, spało słowem wszystko.

Wokoło zamku rosły i rosły coraz wyżej głogi, zielony ten mur stawał się z ro-



ku na rok wyższy i wkrótce zasłonił nawet chorągiew na dachu.

Po kraju snuła się legenda o pięknej, śpiącej królownie. Zwabiało to wielu młodych zapalonych rycerzy i królewiczów, którzy starali się dostać do zamku przez mur głógów. Ale ciernie zwarte były tak mocno, że młodzieńcy wplątani w ich sieć, ginęli wszyscy smutną śmiercią.

Minęły długie lata, aż pewnego razu posłyszał o zakłętej królownie pewien królewicz, przybył do tego kraju i stary pasterz opowiedział mu, jak piękną ma być królowna i jak śpi od stu lat, wraz z rodzicami, całym dworem i zamkiem, który zarósł głógami.

Nie zrażony wcale śmiercią wielu młodzieńców, którzy usiłowali przeniknąć przez mur głógów, powiedział śmiało:

— Dostanę się tam na pewno.

Pojechał, nie słuchając przestróg sta-

rego pasterza, a zdarzyło się, że był to właśnie dzień, w którym sen królowy miał ustać.

Gdy stanął pod murem głogów, ciernie rozwarły się przed nim same i puściły do wnętrza, po tym jednak utworzyły na nowo zwartą ścianę.

W podwórzu ujrzał śpiące konie i psy, gołębie na dachu, w kuchni kucharza trzymającego kuchcika, oraz kucharkę nad czarną kurą oskubaną do połowy.

W sali spał cały dwór. Król i królowa spali stojąco, a inni porzeczali się od stuletniego snu.

Królewicz szedł po całym zamku, gdzie było tak cicho, że słyszał oddech własny, a gdy doszedł do małej izdebki na wieży ujrzał królowę śpiącą, a tak piękną, że oczu od niej nie mógł odwrócić. Uczuł miłość wielką, pochylił się i pocałował śpiącą.

Zaledwo dotknął jej ust, otwarła oczy i spojrzała nań mile, po tym zaś wstała i zeszedli oboje do sali.

Król i królowa nie spali już i zbudził się też dwór, a wszyscy spoglądali po sobie, zdumieni wielce.

Konie w podwórzu potrząsały grzbietami i rżały, psy skakały i machały ogonami, gołębie wyjęły główki spod skrzydeł i uleciały w pole, muchy zaczęły łązić po ścianie, ogień w kuchni zaczął dalej gotować jedzenie, kucharz trzasnął kuchcika w twarz, tak że krzyknął, a kucharka dokończyła skubać kurę.

Potem odprawiono huczne zaślubiny królewicza z królowną i żyli sobie długo i szczęśliwie.

## CO ROBIŁY MYSZY.

## I.

— Słuchaj! — powiedziała mysz stara co się zowie. Siedziałam dwudziesta z rzędu obok naszego starego króla, a więc na miejscu honorowym. Niesłychanie były wykwintne potrawy. Naprzód podano spleśniały chleb, potem suchą skórę słoniny, stary łój, a na deser kiszki. Gdyśmy skończyli, zaczęto od początku, były to więc dwie biesiady. Wszyscy mieli doskonałe humory i rozpowiadaliśmy sobie anegdotki, jak to zwykle bywa w kółku rodzinnym.

Pożarto wszystko, zostały tylko patyki,

czyli roženki z kiszek i rozmawiano o nich. Jedna z moich sąsiadek przypomniała o słynnej zupie przyrządzonej z takich patyków, czyli rożenków, która w innych krajach zwie się zupą z kamieni. Wszyscy wiedzieli o tej zupie, ale nikt jej nie kosztował, a tym mniej nie umiał przyrządzić.

Jeden z gości wniósł dowcipny toast na temat tej zupy, a król wstał i oświadczył, że ta z pośród myszy, która zdoła przyrządzić najsmaczniej zupę z patyczków od kiszek, zostanie jego żoną i zasiądzie na tronie. Wyznaczono też zaraz rok i dzień czasu na wykonanie trudnego zadania.

— Świetny pomysł! — przyznała kumoszka. — Tylko jak się wziąć do niego?

— Otóż to właśnie. Pytałam mnóstwa młodych i starych myszy, ale żadna nie wie, skąd wziąć przepis na ową słynną

zupę, ani gdzie go szukać. Każda by, oczywiście, rada zostać królową, ale przepisu tego trzeba szukać daleko w świecie, gdzie nie zawsze ciepło i jest co jeść, gdzie same niewygody i mnóstwo kotów, czyhających na nieszczęsne myszy. Toteż nie każda chce opuścić wygodną dziurę i szukać wiatru w polu.

Ta niemiła perspektywa ochłodziła wielce zapał współzawodniczek i w końcu zostały tylko najśmielsze, gotowe szukać przepisu na zupę. Wszystkie były młode, piękne i zręczne, przy tym też biedne i to im właśnie dodawało odwagi.

Każda wyruszyła w inną stronę świata, żegnana życzeniami szczęścia, każda też wzięła rożenek, czyli patyczek od kieszki jako łaskę pielgrzymią, co miało przypominać cel podróży.

Wyruszyły w początkach maja, a wró-

ciły w rok później i to we trzy tylko, bowiem o czwartej słuch zaginął.

Nadszedł dzień ustanowiony, a król rzekł:

— Każda przyjemność ma swoją przykrą stronę. Czwarta podróżniczka zginęła pewnie.

Potem kazał zwołać do obszernej kuchni myszy całego państwa swego. Podróżniczki stały osobno w jednym rzędzie, a obok nich tkwił żałobą okryty patyczek, jako wspomnienie po zaginionej.

Na dany przez króla znak zaczęła mysz pierwsza opowieść swoją:

## II.

Co pierwsza mysz widziała  
i czego się nauczyła w podróży.

Wyruszając w drogę, sądziłam, jak każda młoda mysz, że zjadłam już całą mądrość świata tego. Tymczasem jest całkiem inaczej i teraz wiem, że dużo lat i dni trzeba poświęcić nauce, chcąc wiedzieć trochę bodaj. Wyruszyłam statkiem ku północy, myślałam bowiem, że kucharz statku często nie ma zapasów i musi przyrządzać zupę z rożenków od kiszek, gdy nie ma nic innego. Chciałam to podpatrzeć.

Stało się całkiem inaczej. Okręt był zaopatrzony we wszystko i żyłam po królewsku sadłem, mięsem solonym, oraz piękną mąką. Mowy nie było o zupie z patyków.



Płynęliśmy dużo dni i nocy, burze rzucały statkiem i nieraz zmokłam porządnie, w końcu jednak przybyliśmy do miejsca przeznaczenia na dalekiej północy. Opuściłam tedy okręt i udałam się na ląd.

Dziwnego doznałam wrażenia. Całe życie spędziłam w dziurze, okręt był także czymś, jak dziura, teraz zaś znalazłam się w szczerym polu, strasznie daleko od kraju ojczystego.

Ujrzałam przed sobą ogromny las jodłowy i sosnowy, który wydzielał woń żywicy. Zrazu myślałam, że tak pachną kiszki w tym kraju, ale skosztowawszy, dostałam straszego kataru.

W dalszej wędrówce zaszłam nad ogromne jezioro. Z oddali woda wydawała się czarna, ale zbliżywszy się spostrzegłam, że jest czysta i jasna. Na jeziorze było mnóstwo białych łabędzi. Wyglądały

jak piana, potem jednak zaczęły chodzić chwiejnie jak gęsi i poznałam, że pochodzą z tego rodu, bo prawda musi zawsze wypłynąć na wierzch.

Trzymając się zawsze swoich krewniaków, rozpytywałam myszy polne i leśne, ale nie mają tam one wielkich zdolności kulinarnych, przeto nie pomogły mi w osiągnięciu celu podróży. Pomysł zupy z rożenków od kiszek wydał im się przy tym tak dziwnym, że rozpaplały o tym po całej okolicy i na znak zdumienia świstały, aż mi puchły uszy. Potem oświadczyły, że jest to rzecz całkiem nie wykonalna, a ja poznałam z tego, iż nie mają o rzeczy pojęcia.

Dowiedziałam się od nich tylko, że drzewa w lecie pachną tak pięknie, a woda połyska tak jasno, bo jest właśnie maj, o czym zapomniałam, udręczona niewygodami podróży.

Na skraju lasu tkwiła pośród łąk wysoka tyka z bukietem kwiatów u szczytu, a ustawiono ją tam dla uczczenia wiosny. Chłopcy wiejscy i dziewczęta tańczyli wokół niej przy dźwięku skrzypiec, śpiewając na całe gardło. Skakali jak szaleni, a gdy zaszło słońce, hasali przy świetle księżyca.

Nic mi to nie obchodziło, wtuliłam się w kępę miękkiego mchu z obawy, by mnie nie rozdeptali tańczący. Siedząc tak w świetle księżyca, ujrzałam mnóstwo zgrabnych i pięknych postaci, dochodzących mi wzrostem zaledwo do kolan. Były podobne do ludzi, ale zręczniejsze i po wspaniałych strojach poznałam, że są to elfy. Szaty ich uszyte z płatków kwiatnych i migotliwe skrzydełka nadawały im świetny wygląd.

Szukały, zda się, czegoś w gęstwinie, a

najpiękniejszy z nich rzekł, wskazując na moją laskę podróżną:

— Tego nam potrzeba właśnie.

— Dam ci mą laskę — powiedziała mu uprzejmie — ale musisz zwrócić za chwilę.

— Oddamy! Oddamy! — zawołały chórem elfy i porwały mój rozenek, ale nie bałam się, powziąwszy do nich zaufanie.

Udaliśmy się wszyscy na miejsce otwarte, gdzie mech nie był tak puszysty, a elfy zatknęły mą laskę w ziemię. Zrozumiałam teraz, że chcą mieć podobnie jak ludzie swą tykę ku czci wiosny, elfy zaś zaczęły przystrajać swą tykę wspaniale.

Małe pajęczki okryły ją złotą nicią i przyczepiały proporczyki polatujące w wietrze, a biel ich w świetle księżycowym olśniewała mnie. Poza tym elfy brały barwy ze skrzydeł śpiących motyli i malowały żerdź precudnie.

Wkrótce nie mogłam poznać nawet swojej laski, uwieńczonej u szczytu wspaniałym bukietem.

Po skończeniu przygotowań ujrzałam korowód dostojników. Elfy, które mnie dotąd otaczały, była to jeno służba. Teraz dopiero nadeszli szlachetni panowie i damy, nie zbliżałam się jednak zbyt, by nie rozdeptać któregoś z towarzystwa.

Rozpoczęto pąsy, przy cudnej muzyce głosów ptasich, a śpiewały, zda mi się, także i łabędzie. Towarzyszył temu również poszum drzew, a słyszałam wyraźnie dźwięk leśnych dzwonek. Wzruszona do łez radowałam się w głębi duszy, chociaż jestem tylko biedna mysz.

Tańce trwały przez noc całą, ale wydało mi się, że ustały rychło. O świcie powiał wiatr i zerwał z mego patyczka wszystkie wspaniałości.

Sześć elfów odniosło mi własność moją, dziękując i pytając, czy nie chcę czegoś w zamian, co zostanie w miarę możliwości spełnione natychmiast.

Skorzystałam bez namysłu ze sposobności, prosząc o receptę na zupę z drewniek kiszkowych.

— Widziałaś wszakże, jakie cuda można zrobić z twego patyczka, — powiedział przywódca gromadki — zastosuj to jak należy.

— Ach! Mnie idzie nie o cuda, ale o realny i rzeczywisty przepis na zupę, — odrzekłam.

Opowiedziawszy cel podróży mojej i jak się wszystko odbyło, dodałam:

— Potężny król mego państwa nie miałby, jak widzicie, żadnego upodobania w pięknym przystroju tej laski, choćbym nawet mogła tego sama dokazać. To

wszystko dobre chyba na deser, gdy się już nie jest głodnym.

Jeden z elfów umaczał palec w kielichu fiołka, przeciągnął go po lasce i rzekł:

— Gdy wrócisz do swego króla, dotknij tą laską koniec jego nosa, a wśród naj-sroźszej nawet zimy wykwitną na niej prześliczne fiołki. Oto dar nasz.

Rzekłszy to, dotknęła podróżniczka nosa władcy swego i natychmiast laska okryła się najcudowniejszymi fiołkami. Ale woń ta nie była miłą rodowi myszy i król rozkazał im włożyć na chwilę ogony w płomień kuchenny, by przypaloną siercią oczyścić powietrze.

— Cóż ci dały więcej elfy? — spytał król niechętnie.

— Fiołki dostałam dla rozkoszy oczu i powonienia, teraz zaś uraduję uszy wasze! — odparła podróżniczka.

Kwiaty znikły, obróciła patyk, gdy zaś jęła nim wybijać takt, rozbrzmiała najdziwniejsza pod słońcem muzyka. Były to wszystkie razem odgłosy, jakie się słyszy w kuchni.

Słysząc było pryskanie słoniny, huczenie ognia w piecu, kipienie zupy, syk pieczonego mięsiwa, pęknięcie kasztanów, skwierczenie, dudnienie, słowem wszystko. Potem ogień rozgorzał bardziej jeszcze i zrazu cicho, potem zaś coraz głośniej jęła się gotować woda. Następnie zaszczękały rynienki, łyżki, noże, widelce, zgrzytnęły różny, krople spadały ze sykiem na blachę, aż wreszcie złakniony król zawołał:

— Doskonale! Świetnie! Podajże teraz zupę. Musi być cudowna.

— Ach. Nic ze zupy! — westchnęła podróżniczka. — Już zjadłeś, o panie, zupę elfów,



To rzekłszy, skłoniła się, a król krzyknął:

— Stroisz sobie, widzę, żarty ze mnie!  
Następna niech wystąpi. Prędzej, daj mi receptę.

## III.

Co opowiadała druga mysz.

— Urodziłam się w zamkowej bibliotece, — zaczęła druga podróżniczka. — Kłątwa spoczywa widać na mej rodzinie, iż nigdy dotrzeć nie możemy do jadalni i zawsze cierpimy głód. W ojczyźnie mej, po raz pierwszy jestem w kuchni, ale podczas podróży zwiedziłam dużo tych miejsc cudownych.

Jak rzekłam, głodno nam było w rodzinnej bibliotece, ale nabyłam sporo wiedzy, to też gdy wieść doszła o konkursie króla na patyczaną zupę, stanęłam do współdziałania. Pewien stary sługa biblioteczny rzekł raz pono, że poezja i mądrość czynią cuda. Wiem to od prababki mojej, która mnie zachęciła do podróży, mówiąc:

— Słyszałam nieraz w bibliotece, iż wszystkiego dopiąć można przez inteligencję, wyobraźnię i uczucie. Spróbuj tedy, a może posiędziesz receptę na tę nieprawdopodobną zupę i zostaniesz królową.

Pamiętna, że mądrość przychodzi ze wschodu, jak rzekł po łacinie jakiś mądry człowiek, udałam się na wschód. „Ucz się mądrości od mrówki“, powiedział jakiś drugi mędrzec, wyszukałam tedy wielkie mrowisko.

Siadłam zaczyjona i zaczęłam patrzeć, oraz słuchać. To co robiły mrówki widziałam już nieraz i nie wydała mi się wcale dziwną ich bieżanina za pożywieniem, budową domu, oraz wychowywaniem potomstwa. My, myszy czynimy niemal to samo. Większą uwagę skupiłam przeto na tym, co mówią.

Trudno to było pojąć memu biednemu mózgowi. Mrówki twierdziły z dumą, że

najwspanialsza i najwyższa rzecz w świecie, to mrowisko, przewyższające nawet góry. Tymczasem obok mrowiska stało wielkie drzewo, wyższe o sto stóp na pewno. Mrówki nie wspominały o tym jednak nigdy.

Pewnego dnia zbłądziła jedna z nich na drzewo i wyszła znacznie ponad mrowisko. Za powrotem jęła o tym mówić szeroko i została skazana za karę na najcięższe roboty.

W jakiś czas po tym wyszła na drzewo inna mrówka, ale wróciwszy zwierzyła się kilku poważnym, starszym towarzyszkom i to w sposób oględny w wyrazach umiarkowanych, tak że nie poniosły żadnej szkody, a ponieważ była dygnitarką dworską dziwowano się głębokiej jej mądrości.

Wypatrywałam ciągle królowę, ale nigdzie jej nie było. Tymczasem zdarzyło



BIBLIOTEKA  
\* EN \*  
NARODOWA

mi się raz widzieć, jak mrówki wynoszą na słońce jaja swoje. Jedna, słabsza widać upuściła jajo, zaś dwie sąsiadki pośpieszyły jej z pomocą. Miały jednak już swoje jaja w łapkach, przeto po chwili namysłu, odeszły, zostawiając ją w kłopotcie.

— To jest szczyt mądrości! — zawołał głos jakiś. — Każdy dla siebie. Oto zasada najmądrzejszych, a ja jestem najmądrzejsza z wszystkich.

Powiedziała to wielka mrówka ze skrzydłami, a ja poznałam królowę. Przyszło mi do głowy, że mogą osiąść szczyt mrówczej mądrości i połknęłam ją czym prędzej.

Byłam tedy mądra, ale nie dość tego.

Wylazłam na drzewo, aż pod samą koronę, wiedząc, że mieszkają tam driady, nimfy drzew, które stanowią ich życie. W istocie ujrzałam prześliczną dziewczę, ale chociaż była ona boginią, krzyknęła

ze strachu na mój widok. Bała się myszy, jak każda kobieta, a przy tym wiedziała, że mogę gryźć drzewo i skrócić jego życie.

Upewniłam ją, iż tego nie uczynię, a ona pogodzona ze mną zupełnie, wysłuchała mej prośby.

Szło mi o uzyskanie wyobraźni. Na drzewie tym spoczywał właśnie każdej nocy Fantazus, bóg wyobraźni.

Wie on wszystko i pamięta czasy przedhistoryczne, rozumie mowę zwierząt i roślin, nie ma też lepszego nadeń nauczyciela.

Skłoniona prośbami mymi wyrwała mu driada małe piórko z migotliwych skrzydeł i dała mi. Namoczyłam je w wodzie sumiennie, by trochę zmiękło, potem zaś chrupałam całe od nasady do samego końca.



Posiadłszy w ten sposób wyobraźnię, wróciłam do biblioteki.

Szło o uczucie. Wiedziałam jak ludzie ronią łzy, czytając niektóre książki. Wyszukałam kilka tomów z kartkami noszącymi ślady łez, oraz plam od palców, zjadłam je z cierpliwością, chociaż były bardzo niestrawne i dotąd mnie od nich boli żołądek.

Jestem tedy przysposobiona, ale dam Waszej Królewskiej Mości coś stokroć lepszego od zwykłej zupy z patyków, czy rożenków. Będzie to świetna potrawa z różdżek czarodziejskich. Opowiem precudne rzeczy, a w każdej z tych historii będzie najmniej jedna czarodziejka... A więc zacznijmy od Kopciuszka...

— Milcz! — krzyknął król. — Oszalałaś chyba. Dawać następną.

Ale naraz powstał szelest.

Wpadła do kuchni mysz czwarta, opła-

kana już, cisnęła o ziemię patyk osłoni-  
ny krepą i nie czekając pozwolenia sta-  
nęła przed królem, mówiąc, że spóźniła  
się, chociaż zaryzykowała jazdę pocią-  
giem towarowym. Nie miała laski i bra-  
kło jej sporo sierci. Ale była mocna w ję-  
zyku, zaczęła tedy naraz gadać, jakby od  
tego zależał los całego rodu myszy, a sam  
król nie miał odwagi przerwać jej jed-  
nym bodaj słowem.

## IV.

Co opowiadała mysz czwarta  
przed trzecią.

Pospieszyłam do stolicy, pewna, że tam najprędzej dowiem się czegoś naprawdę. Zapomniałam już, co to za stolica, dość że podróż odbyłam na wózku przemytnika i wraz z nim dostałam się do więzienia.

Tam posłyszałam o pewnym człowieku, którego uwieziono za słowa skierowane przeciw Królowi. Słowa te przesadzone, przekrecone, spisane fałszywie i jeszcze raz przesadzone stanowiły wielką zbrodnię, a odźwierny powtarzał nieraz:

— To nic. To czysta woda. To zupa z patyków. Ale może mu spaść głowa z karku.

Nastawiłam bacznie uszu, gdyż wpadłam niespodzianie na trop recepty. Zaczęłam szukać celi więźnia, odnalazłam ją i wślizgnęłam się szparą w drzwiach.

Był blady, miał długą brodę i pałające oczy. Celę oświecała mdła lampa, kopiąc coraz bardziej na czarne, brudne ściany. Więzień pisał po nich wiersze i rysował różne figury, nudził się bardzo, toteż powitał mnie z radością.

Rzucał mi okruszyny chleba i gwizdał dla ośmielenia, potem gdym się oswoiła, dawał mi kawałki sera, brał do rąk, głaskał i całował nawet.

Nieraz mieliśmy ser i kiszki, słowem żyłam po pańsku, a przyjaciel mój pozwalał mi chować się w brodzie swej, lub w rękawie, gdy było zimno.

Czując jego przywiązanie, odwzajemniałam mu się i, zapomniawszy całkiem o

celu mej podróży, zgubiłam laskę. Wpadła w szparę podłogi i leży tam jeszcze dotąd.

Pewnego dnia otwarto drzwi celi i przyjaciel mój wyszedł. W progu jeszcze obrócił się ku mnie i posłał mi od ust całusa. Nie wiem, co się z nim stało, pamiętam tylko, że odźwierny rzekł:

— Zupa z patyków!

Te słowa przypomniały mi cel podróży i wyruszyłam w świat. Ale nawykła do człowieka, zatraciłam ostrożność zwykłą, odźwierny schwytał mnie, wsadził do klatki i dał jako zabawkę dziecku swemu. Biegałam wkoło jak szalona po całych dniach i nocach, nie mogąc wyjść. Ale pewnego dnia dziecko otworzyło drzwiczki, chcąc mnie wziąć w rękę, ja zaś dałam susa na otwarte okno, zbiegłam po rynnie i dalej przez dachy domów dostałam się na starą wieżę.

Mieszkał tam tylko strażnik nocny i

puchacz. Strażnik był zarozumiały, gdyż w czasie pożaru umiał dąć w róg, zaś puchacz, stary bardzo i mądry chlubił się tym, że jest ptakiem Minerwy, bogini mądrości. Nie zjadł mnie nawet z powodu tej mądrości, uprzedziwszy, że los ten spotka mnie dopiero w zimie, gdy nastanie dlań głód. Tymczasem zaś żyliśmy w wielkiej zgodzie. Uczył mnie też różnych rzeczy, a gdy pytałam o błahostki, powtarzał raz po raz:

— Zupa z patyków. Zupa z patyków.

Zdobywszy się na odwagę, poprosiłam go raz, by mi dał receptę na tę zupę, on zaś zdumiał się wielce i rzekł:

— Jakto, nie znasz tego przysłowia duńskiego. Zupą z patyków, albo z rożenków od zjedzonych kiszek zowie się to, czego nie ma i być nie może. Znaczy to tyle co głupstwo, choć każdy tłumaczy te wyrazy po swojemu.

— Doskonale! — wykrzyknęłam olśniona. — Wyjaśniłeś mi nareszcie rzecz całą, a chociaż straciłam złudzenia, pozyskałam za to prawdę. Nie ma na świecie nic nad prawdę, to skarb bezcenny.

Wyruszyłam natychmiast w drogę, bo chociaż nie przynoszę zupy, daję ci królu prawdę wielką. Myszy mają słusznie sławę stworzeń oświeconych, a fakt ten ugruntuje ją bardziej jeszcze. Znając zaś rozum twój, o panie, pewna jestem, że uczynisz mnie królową.

— Kłamstwem jest prawda twoja! — krzyknęła mysz trzecia, która dotąd nie przyszła jeszcze do słowa. Zaraz przyrządę zupę. Zobaczysz to na własne oczy.

## V.

## Przedziwna recepta.

— Wcale nie podróżowałam po obcych krajach za przepisem, — oświadczyła trzecia mysz, gdyż u nas w kraju jest wszystko, czego nam potrzeba; nie pytałam istot nadprzyrodzonych, nie tykałam mądrości, ani uczyłam się od puchacza. Co wiem, to wiem ze siebie samej.

Prędko, postawcie na ogniu dużą rynkę... Wlać trzeba dużo wody... po same brzegi. Tak, dobrze. Teraz naręcz patyków i sporo słomy i węgla w piec. Niech ogień rozgorzeje ogromny. Wszystko w porządku, brak tylko jednej rzeczy.

Najczcigodniejszy monarcha nasz ra-




czy zaczekać, aż woda zagotuje się, potem zaś włożyć w rynkę ogon swój i mieszać przez kilka minut zupę. Wystarczy trzy minuty, by wszystko było gotowe.

— Czyż musi to być właśnie mój ogon,  
— spytał król.

— Tak, Miłościwy Panie! — odparła mysz. — Zwykle ogony nie posiadają tych cennych właściwości.

Woda zakipiała, król przystąpił z całą powagą do rynki, wsadził ogon i zakręcił nim wkoło po ścianach naczynia, jak to czynią myszy z garnkami śmietany. Za chwilę jednak uczuł wielki żar, sparzony zeskoczył z kuchni i wykrzyknął:

— Tak, tak, doskonały przepis. Ciebie mianuję królową. Zupę zgotujemy sobie w dniu złotych godów naszych, dziś zaś damy wielki bal dla uczczenia twego zwycięstwa, będziemy jeść i pić przez cały tydzień.



Odbyło się zaraz wesele z wielką uroczystością, a gdy zjedzono i wypito wszystko, goście wrócili do siebie. Prześcignięte współzawodniczki i ich kumoszki szeptały wprawdzie coś między sobą, krytykując słynną receptę.

Krytykowano ją też w świecie, tu i owdzie, ale cóż wobec zwycięstwa, warta jest krytyka.

## WILK I SIEDEM KOZŁAT.

Była sobie raz koza, miała siedmioro koźląt i kochała je bardzo. Pewnego dnia chciała iść do lasu po paszę, rzekła tedy koźlątom:

— Drogie dzieci, muszę odejść na czas pewien, strzeżcie się tedy wilka. Wielki ten drab zjadłby was z kośćmi. Ale poznacie go po chrapliwym głosie i czarnej sierści na nogach.

— Dobrze, droga mamó! — odparły koźlęta. — Idź spokojnie, już my się nie damy wilkowi.

Niedługo po tym zapukał ktoś do drzwi zagrody i przemówił:

— Drogie dzieci, otwórzcie, to ja, matka wasza, przynoszę wam jedzenie z lasu.

Koźłeta poznały wilka po chrapliwym głosie i odrzekły:

— Nie otworzymy ci. Ty jesteś wilk. Masz głos chrapliwy, a matka nasza będzie słodko.

Wilk poszedł do kramu, kupił duży kawał kredy i zjadł, by uczynić słodszy głos swój, potem wrócił do zagrody i przemówił:

— Drogie dzieci, otwórzcie, to ja, matka wasza, przynoszę wam jedzenie z lasu.

Wilk położył jednak niebacznie łapę na desce okiennej, a gdy koźłeta to zoczyły, odrzekły:

— Nie otworzymy ci. Ty jesteś wilk. Matka nasza nie ma czarnej sierści na nogach.

Wilk pobiegł do piekarza, i rzekł:

— Skaleczyłem się w łapę, posmaruj mi ją ciastem.

Potem pobiegł do młynarza i rzekł:

— Skaleczyłem się w łapę, obsyp mi ją mąką.

Młynarz przeczuwał, że wilk chce kogoś oszukać i zawahał się, ale wilk powiedział:

— Jeśli tego nie zrobisz, zjem cię. — Jak każdy człowiek bojący się wilka, pobielł mu młynarz nogi.

Wilk wrócił do zagrody i powiedział to samo, co przed tym, pokazał białe nogi, a kozłeta otworzyły mu, sądząc, że matka wraca z lasu.

Ujrzawszy wilka, przeraziły się bardzo i zaczęły uciekać. Jedno skoczyło pod stół, drugie do łóżka, trzecie w piec piekarski, czwarte do kuchni, piąte do szafy, szóste pod umywalnię, a siódme, najmniejsze schowało się do szafki zegaru. Ale wilk pożarł jedno po drugim, nie znalazłszy tylko siódmego, skrytego w zegarze. Po-

tem obżarty, wytoczył się na łąkę i legł pod drzewem.

Niedługo wróciła koza z lasu i przerażona się, ujrawszy drzwi otwarte, meble poprzewracane, łóżko rozburzone i stłuczoną miednicę. Wołała dzieci po imieniu ale odpowiedziało jeno najmłodsze, skryte w skrzynce zegara.

Wydobyła je i dowiedziała się wszystkiego. Wyszła na pole, a kozłę pobiegło za nią.

Zastała na łące, pod drzewem wilka, który spał, chrapiąc głośno.

Patrzyła nań i ujrzała, że w brzuchu jego rusza się coś gwałtownie.

— Ach! — westchnęła. — Czyżby żyły jeszcze moje drogie dzieci, które potwór ten pochłonał.

Posłała prędko kozłę po nożyczki igły oraz nici do domu i rozcięła brzuch wilkowi. Im szerzej krajała, tym więcej koź

łał wyskakiwało z wilczego brzucha. Zwały wszystkie, albowiem żarłoczny wilk nie pogryzł ich, ale połknął całe i nieuszkodzone.

Cóż to była za radość. Kozłeta skakały, całowały się i były wesole, jak goście na weselu.

Ale matka powiedziała im:

— Idźcież teraz nad rzekę i naznoście wielkich kamieni, okrągłaków, gdyż muszę napełnić brzuch wilka, jak długo śpi.

Kozłeta namiosły, ile tylko mogły kamieni, a matka nadziała nimi wilka i zaszyla brzuch tak prędko, że nie zauważył niczego i nie ruszył się nawet.

Wilk wstał po długim czasie, wyspany doskonale, ponieważ zaś kamienie sprawiały mu wielkie pragnienie, poszedł do studni pić. Szedł, a kamienie uderzały o siebie, tak że zawołał:

— Cóż mi to trzeszczy w brzuchu?

Sprawa przekłeta.

To są kamienie, a nie kozłeta.

Doszedłszy do studni, nachylił się by się napić, ale ciężkie kamienie ciągnęły go na dół, tak żywo że wpadł i utonął.

Na ten widok zaczęły kozłeta podskakiwać, becząc wokoło studni i śpiewać:

— Nie ma już wilka! Nie ma już wilka!



## CUDOWNY STOLIK, OSIOŁ I KIJ.

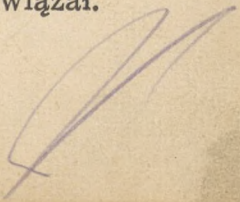
Pewien krawiec miał trzech synów, a tylko jedną kozę. Kozą musiała żywić cały dom, toteż trzeba jej było dobrej paszy. Wyprowadzali ją w pole synowie po kolei.

Najstarszy zaprowadził raz kozę na bujną łąkę, z soczystymi roślinami, gdzie skakała i pasła się przez dzień cały, gdy ją zaś miał zabrać do domu wieczorem, spytał, gładząc jej sierść:

— Czyś kozuniu syta.

— Ni listka już nie zjem i kwita! —  
odparła.

— To chodź do domu! — powiedział,  
wprowadził ją do stajni i przywiązał.



— Czyś napasł kozę? — spytał ojciec.

— O tak, — rzekł syn. — Nie chce już ani jednego listka.

Ojciec chciał się jednak przekonać czy tak jest, poszedł do stajni i spytał, gładząc kozę:

— Czyś kozuniu syta?

— Pasałam się tylko przez chwilę  
I jadłam suche badyle.

Tak odpowiedziała koza.

— Cóż to znaczy? — zawołał krawiec, porwał łokieć i obił syna, krzycząc: — Ty drabie jeden, skłamałeś, bo koza głodna!

Nazajutrz drugi syn wyprowadził kozę i napasł ją pod żywopłotem, gdzie rosły soczyste zioła, gdy zaś nadszedł wieczór, spytał:

— Czyś kozuniu syta?

— Ni listka już nie chcę i kwita.

— To chodź do domu! — powiedział, zabrał kozę i przywiązał ją w stajni.

— Czyś napasł kozę? — spytał ojciec.

— O tak! — rzekł syn. — Nie chce już ani listka.

Ojciec chciał się jednak przekonać, poszedł do stajni i spytał, gładząc kozę:

— Czyś kozuniu syta?

— Pasłam się tylko przez chwilę

I jadłam suche badyle.

Tak odpowiedziała koza, a ojciec wziął łokieć, obił i wygnał drugiego syna z domu.

Trzeci syn zaprowadził kozę w krzaki o soczystych liściach, napasł jak przystało, wieczorem zaś spytał:

— Czyś kozuniu syta?

— Ni listka już nie chcę i kwita.

— To chodź do domu! — powiedział i przywiązał ją w stajni.

Ojciec chciał się jednak przekonać, czy

trzeci bodaj syn napasł kozę, poszedł do stajni i spytał, gładząc, jej grzbiet:

— Czyś kozuniu syta?

— Pasłam się tylko przez chwilę  
I jadłam suche badyle.

Tak odparła koza, a ojciec obił i wygnał z domu trzeciego syna.

Zostawszy sam, wziął krawiec kozę na postronek, zaprowadził na najpiękniejszą łąkę, pasł przez cały dzień, wieczorem zaś spytał:

— Czyś kozuniu syta?

— Ni listka już nie chcę i kwita.

— To chodź do domu, — powiedział, zabrał kozę i przywiązał w stajni.

Zanim jednak wyszedł, wrócił raz jeszcze, pogładził i spytał znowu:

— Czyś kozuniu syta?

— Pasłam się tylko przez chwilę  
I jadłam suche badyle.

Tak powiedziała koza, a krawiec osłu-

piął ze zdumienia. Poznał teraz, że wszystkich trzech synów wygnał z domu niesłusznie.

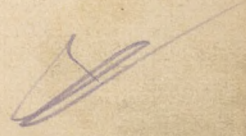
— Czekałże niewdzięczne stworzenie.  
— krzyczał. — Wygnam i ciebie, ale przedtem naznaczę.

Pobiegł do izby, przyniósł mydło i brzytwę, ogolił kozie głowę, potem zaś osmałł biczem, gdyż łokieć był dla kozy zbyt honorowym narzędziem, a koza wybiegła w świat.

Został teraz sam jeden w wielkim smutku i tęsknił za synami, ale nie wiedział, gdzie są.

Najstarszy wstąpił na naukę do stolarza i uczył się pilnie, gdy zaś minął czas terminowania, dał mu majster niewielki stolik ze zwykłego drzewa. Stolik ten miał jednak zaletę wielką. Ile razy tylko zawołał:

— Stoliczku nakryj się!



w tej chwili spadał na stoliczek czysty, biały obrus, potem stawiały tam niewidzialne ręce miski z doskonałym jadem i wielką szklanę czerwonego wina, tak że radość brała patrzeć.

— Dość mi takiej zapłaty! — rzekł młody czeladnik, podziękował, ruszył w świat i dobrze mu się działo. Nie dbając o gospody, stawiał swój stoliczek w szczerym polu, pod drzewem, jadł i pił do syta, potem zaś ruszał dalej.

Wreszcie postanowił wracać do ojca, sądząc, że się już nie gniewa i będzie zadowolony ze stoliczka. Zaszedł pewnego dnia na noc do gospody, pełnej gości. Nie było dużo jedzenia, a mimo to poproszono go, by zasiadł do stołu i wziął udział w wieczerzy.

— Nie, drodzy przyjaciele! — powiedział. — Dziś ja was wszystkich ugoszczę.

Spojrzeli nań zdumieni, on zaś kazał się nakryć swemu stoliczokwi i zaprosił ich do jedzenia.

Chociaż było osób wiele, coraz to świeże potrawy stawały na stoliku i nowe szklanki wina, tak że jedli i pili późno w noc.

Patrzył na to zazdrosnym okiem gospodarz i myślał, że przydałby mu się taki stoliczek. Gdy stolarczyk legł spać, wyszukał prędko w lamusie całkiem podobny stolik i postawił przy łóżku, a cudowny stoliczek wziął sobie.

Rano wstał stolarczyk, zapłacił za nocleg, wziął stolik i nie podejrzewając niczego ruszył w dalszą drogę.

Ojciec ucieszył się bardzo na widok syna i spytał:

— Czegóżeś słę, drogi synu, nauczył w świecie.

— Zostałem stolarzem, ojcze.

— Dobrze to rzemiosło. Ale czy przyniosłeś co z wędrownki swojej.

— Przyniosłem ten stolik.

— Nie wielka to rzecz, mój synu. Jest on z prostego drzewa i dość nawet stary.

— Jest to stolik cudowny, drogi ojcze. Ile razy chcę sobie podjeść i popić, mówię stoliczkowi, by się nakrył, a mam jedzenia i wina ile dusza zapagnie. Zaprosz ojcze znajomych i przyjaciół, a pokażę tę sztukę. Dopiero wczoraj ugościłem sporo ludzi w ten sposób.

Ojciec sprosił kumów, syn postawił na środku izby stolik i zawołał:

— Stoliczku nakryj się!

Ale stolik pozostał pusty, jakby nie rozumiał rozkazu, a goście wyśmiali stolarczyka i poszli głodni i gniewni do domu.

Ojciec musiał pracować dalej, a syn



poszedł pracować do jednego majstra w okolicy.

Drugi syn wstąpił na naukę do młynarza, gdy zaś pilnie odbył swój termin, młynarz dał mu osła.

— Nie ciągnie on wozu i nie nosi worów, — powiedział mu!

— Cóż tedy wart? — spytał młynarczyk.

— Wypluwa dukaty. Ile razy potrzeba ci będzie pieniędzy, postaw go na kawałku sukna i powiedz: Ihaha! Dukatów mi trza! — Ledwie te słowa wypowiesz, będziesz miał pieniędzy ile dusza zapragnie.

Młynarczyk podziękował, wziął osła, odjechał i żył odtąd po pańsku. Zawsze miał pełny worek, a powędrowawszy trochę po świecie, zapragnął wrócić do ojca, sądząc, że się już nie gniewa i przyjmie go dobrze z takim osłem.

Zdarzyło się, że zajechał do tej samej

gospody co starszy brat, gdy zaś gospodarz chciał wziąć osła do stajni, rzekł mu:

— Sam przywiążę mego kłapoucha, gdyż chcę wiedzieć, gdzie stoi.

Dziwnie się to wydało gospodarzowi i myślał, że taki skromny podróżny nie będzie miał pieniędzy na jedzenie.

Ale młynarczyk dobył dukata i poprosił o coś dobrego.

Jadł i pił co wlażło, potem zaś chciwy gospodarz policzył mu wszystko tak drogo, że nie stało pieniędzy.

— Zaczekajcież młynarzu, — powiedział młynarczyk. — Zaraz przyniosę pieniądze.

To rzekłszy, poszedł do stajni, zabierając obrus z sobą ze stołu.

Zdziwiony gospodarz poszedł za gościem i chociaż się zaryglował w stajni, zobaczył przez szparę, jak stawia osła na

obrusie, oraz usłyszał jak mówi: Ihaha! Dukatów nam trza!

— To doskonały sposób bicia monety!  
— rzekł sobie w duchu, gdy zaś młynarczyk zapłacił i legł spać, odprowadził cichaczem na bok cudownego osła, a przywiązał innego do żłobu.

Nie podejrzewając nic złego, młynarczyk rano odjechał, około południa przybył do ojca i bardzo obaj radowali się.

— Czegóż się, mój synu nauczył w świecie — spytał ojciec.

— Zostałem młynarzem, ojcze.

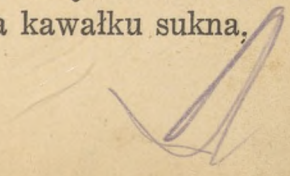
— To dobre rzemiosło. A cóż przyniosłeś ze sobą do domu.

— Tego oto osła, — odparł.

— Nie brak tu osłów, — rzekł ojciec.

— Wolałbym jednak dobrą kozę.

— To jest osioł cudowny! — powiedział młynarczyk. — Ile razy mi trzeba dukatów, stawiam go na kawałku sukna.



lub płótna i mówię: Ihaha. Dukatów mi trza. Zaraz zaczyna osioł wypluwać dukaty i mogę ich nazbierać ile chcę.

— To doskonale! — zawołał krawiec, rzucił igłę i sam pobiegł spraszać krewnych i przyjaciół.

Syn postawił osła na suknie, pośrodku izby i gdy wszyscy przyszli, zawołał: Ihaha. Dukatów nam trza!

Ale osioł stał dalej, jak zwyczajny osioł i ani jednego nie wypluł dukata.

Krawiec zmartwił się bardzo, a młynarczyk, widząc, że go okradziono, przeprosił gości, którzy odeszli źli i biedni, jak dawniej. Ojciec wziął się znowu do igły, a syn poszedł pracować do młyna pobliskiego.

Trzeci brat wstąpił na naukę do toka-rza, a musiał terminować najdłużej, gdyż było to rzemiosło trudne. Bracia jednak byli na tyle sprytni, że dowiedziawszy się,

gdzie jest, zawiadomili go listem o złodziejstwie gospodarza.

Po skończonej nauce tokarz dał mu plecak, a tokarczyk podziękował zdziwiony trochę i namacawszy we worku kij, spytał, co oznacza.

— Jest to dar bardzo cenny, chłopcze. — rzekł tokarz. — Ile razy ktoś cię skrzywdzi, zdejmij worek i powiedz: Skacz mój kiju, samobiju! — A kij zacznie skakać po osobie, która uczyniła ci coś złego. Nie przestanie choćby przez tydzień bić, dopóki nie powiesz: — Dość mój kiju samobiju!

Bardzo uradowany darem, wyruszył tokarczyk do domu i zaszedł do gospody, gdzie zostali okradzeni jego bracia. Położył przed sobą na stole worek i zaczął opowiadać gospodarzowi, co widział w świecie:

— Bywają różne cuda, naprzykład cudowne stoliczki i osły! — mówił. — Ale cóż to jest? Stoliczek daje tylko jedzenie, a osioł nie żyje długo. Mój skarb wart dużo więcej.

Potem zjadł, zapłacił i legł spać, kładąc worek pod głowę.

— Cóż tam być może? — dumiał chciwy gospodarz. — Chyba same brylanty.

Nie dawało mu to spokoju i kiedy, jak sądził, gość zasnął twardo, zaczął pomału wyciągać mu spod głowy worek, podkładając inny.

Tokarczyk czekał tylko na tę chwilę, gdy zaś gospouarz pociągnął mocniej, powiedział z cicha:

— Skacz mój kiju samobiju.

Kij wyskoczył i zaczął okładać gospodarza, który padł jęcząc na ziemię i błagał litości.

— Oddaj cudowny stoliczek i osła, któ-







re skradłeś braciom moim, a kij bić przestanie.

Gospodarz oddał wszystko, kij schował się w worek, a tokarczyk odjechał wesoło do domu.

Ojciec ucieszył się synem i spytał:

— Czegóżeś się mój synu nauczył w świecie.

— Zostałem tokarzem, ojcie. — odparł.

— To bardzo trudne i popłatne rzemiosło — powiedział ojciec. — Cóż jednak przynosisz ze świata?

— Przynoszę kij.

— Kij? To nie wiele. Kijów dość wszędzie.

— Mój kij jest cudowny i bije tego, kogo mu bić każę. W ten sposób właśnie odzyskałem od złodziejskiego gospodarza cudowny stoliczek i cudownego osła braci moich. Sproś ojcie sąsiadów i krew-

nych, a nakarmię ich, napoję i uczynię bogaczami.

Nie bardzo w to wierzył ojciec, ale sprosił raz jeszcze gości, po czym tokarczyk wprowadził osła i rzekł bratu, młynarczykowi:

— Pogadaj z nim, bracie.

Młynarczyk zawołał:

— Ihaha, dukatów nam trza!

Osioł zaczął pluć dukatami na wszystkie strony, a goście zbierali, póki im sił starczyło.

Potem tokarczyk postawił stoliczek i rzekł bratu, stolarczykowi:

— Pogadaj z nim, bracie.

— Stoliczku nakryj się! — zawołał stolarczyk.

Natychmiast niewidzialne ręce zastały stoliczek wyborym jadłem i winem, goście jedli i pili, a w miejsce opróżnionych mis i szklanek stawały nowe.

Zabawa trwała do rana, potem zaś zamknął krawiec igły i nożyczki do szafy i żył z synami w dostatkach przez długie lata.

Chcecie jeszcze może wiedzieć, co się stało z kozą.

Zawstydzona, że ma ogoloną głowę, skryła się w jamę lisią.

Gdy lis wrócił do domu, zobaczył w głębi jamy błyszczące oczy jakiegoś zwierzęcia. Przerażony uciekł w las. Spotkał niedźwiedzia i opowiedział mu, że w jego jamie siedzi zwierz straszliwy.

Wziął niedźwiedź na odwagę i zajrzał także, ale cofnął się przerażony i uciekli obaj co tchu.

Spotkali pszczołę i opowiedzieli jej wszystko.

— Chodźcie ze mną! — rzekła. — Chociaż mała, wystraszę tego zwierza.

To rzekłszy, wleciała, wbiła żądło w ogolone czoło kozy, a koza bekła przeraźliwie, wyleciała co tchu i ugania kędyś dotąd jeszcze.

## BAŁWAN ZE ŚNIEGU.

— O, jakież dziś mróz przepyszny! — powiedział bałwan ze śniegu. — Całe ciało moje trzeszczy z radości, a wiatr północny przenika mnie na wskrós tak mile. Zawadza mi potrosze tylko ta kula błyszcząca, — dodał patrząc na zachodzące słońce. — Gapi się na mnie ciągle. Ale nie spuszczę oczu za nic.

W istocie dwa, naśladujące oczy trójkąty, wymalowane węglem po obu stronach nosa, nie ruszyły się z miejsca. Szczerzył też zęby, mając w ustach połowę starych grabi. Narodziny jego powitane zostały okrzykami gromady chłopców,

a w dali brzęczały dzwonki sunących szybko sanek.

Słońce zaszło, a pośrodku nieba zablasyła blady księżyc.

— Znowu wróciła ta duża kula błyszcząca. — zauważył bałwan śniegowy. — Ale świeci od tyłu, gdyż nie śmie patrzeć mi w oczy. Rad jej nawet jestem, gdyż podnosi urok mych kształtów. Jedno mi tylko nie na rękę. Oto taka wielka kula może się poruszać, ja zaś muszę stać w miejscu. A właśnie mam wielką chętkę zejść na lód i poślizgać się, jak te wesołe urwipołcie za dnia.

— Au! Au! — powiedział pies łańcuchowy (od czasu przebywania w zimnej budzie zachrypnął i nie mógł wymówić wyraźnie: hau, hau.) — Poczekaj trochę, a zobaczysz, że słońce rozrusza cię na dobre. Widziałem już niejednego z poprzed-

ników twoich. Wszyscy spłynęli bardzo prędko do rowu.

— Nie rozumiem twych słów, przyjacielu, — odparł bałwan śniegowy. — Jakżeby mnie miała rozruszać ta jasna kula, która uciekła przed spojrzeniem moim, a teraz stoi trwoźnie z tyłu.

— Zaraz widać, żeś się urodził wczoraj, chociaż masz w gębie wielką fajkę, jak człowiek dorosły! — rzekł pies. — Wiedz, że ta jasna kula na niebie, to księżyc, a poprzednio świeciło słońce. Wróci jutro, ręczę ci i obali cię niebawem na ziemię. Czuję nawet, iż rychło nastąpi odwilż... O, jakże mnie drze w lewej nodze tylnej. Au! Au!

Pies zakręcił się trzy razy, a potem legł na słomie.

— Nie wiem, co mi prorokuje, — powiedział do siebie bałwan śniegowy — ale myślę, że coś nieprzyjemnego. W każdym

razie miałem rację, nienawidząc tamtej kuli jasnej.

Nastąpiła w istocie zmiana pogody. Nad ranem całą okolicę zaległa mgła wilgotna, potem powiał jednak wicher lodowaty i mróz ścisnął jeszcze silniejszy.

Gdy słońce weszło, uczyniło się przecudnie. Drzewa i krzewy pokrył szron. Rozsnuł wszędzie pajęczę nici, namnożył jakby koralu rosochatych, oraz kwiatów przedziwnych, bielszych niżli lilie, a delikatniejszych od koronki. Długie, wiotke gałązki brzoź osypane kryształami szronu kołysały się w wietrze, migocąc różnymi barwami. Wszystko lśniło w promieniach słońca, jakby zasypane okruciami brylantów, szafirów i rubinów. W dali paliła się wprost pożoga śnieżna płaszczyzna.

— Cóż za cudny widok! — zawołała młoda dziewczyna krocząca z młodzień-



cem po parku. — Zaprawdę, w lecie nie widzi się takich cudów.

— Przytym zaś, — dodał młodzieniec, — wskazując śniegowego bałwana — nie można lepić takich figur. Doskonale jest zrobiony i brak mu tylko ognia w fajce.

Zaśmiał się wesoło, obrócił na pięcie, potem zaś złożył grzeczny ukłon bałwanowi i za chwilę młoda para znikła na zakręcie.

— Cóż to za ludzie? — spytał bałwan śniegowy psa podwórzowego. — Nie wydają się źli, tylko mało mi okazali szacunku. Powiadasz, że jesteś tu już długo, więc znasz ich może.

— Oczywiście! — odparł pies. — Ona głaszcze mnie nieraz, a od niego dostaję często smaczne kości. Jest to córka właścicieli tej posiadłości i jej narzeczony. Tam, w dali budują dom, gdzie mieszkać będą po ślubie.

— Nie widzę w dali nic podobnego do domu! — zauważył bałwan śniegowy. — Co prawda, nie mogę obrócić głowy. Powiedz mi jednak, czy są to istoty podobne do ciebie i do mnie.

— Strasznie głupie jest twoje pytanie. — odparł pies. — Wiedz, iż to są ludzie i moi państwo. Powstałeś wczoraj dopiero, ja atoli jestem stary i posiadam niemało doświadczenia. Wiem co się dzieje w domu, a dawniej trzymano mnie w pokoju, nie na mrozie. *Stymanscyk*

— Nic miłszego nad mróz! — powiedział bałwan. — Łańcuch, przyznaję, to zapewne rzecz niemiła. Sam jego łoskot razi mnie. Ale opowiedz, proszę, coś niecoś o swym życiu i przygodach.

— Au! Au! — rzekł pies. — Za młodych lat wszyscy uważali, że jestem niezmiernie miły i sympatyczny. Mieszkałem w najpiękniejszych komnatach, nieraz na-

wet spoczywając na aksamitnym fotelu ze złoceniami. Panie i panienki całowały mnie, obcierały łapki haftowanymi chusteczkami i zwały swym ukochanym przyjacielem.

Nagle jednego dnia zauważono, że jestem zbyt tusty i ociężały, więc dano mnie w podarku klucznicy. Dostałem się do suteryny i patrzyłem przez okno na wszystko od dołu. Ale dobrze mi było, a nowa pani moja kochała mnie i pieściła. Czułem się tu nawet spokojniej, choć mieszkanie nie było zbyt kowne, gdyż nie dręczyły mnie ustawicznie dzieci, biorąc na ręce, dusząc, wkładając mi czepek na głowę i wyrabiając inne głupstwa nieprzystojne. Miałem swoją poduszkę, dobre jadlo i ciepły kominek, do którego tak miło przytulać się w zimie. Spędziłem tam najmiłsze chwile życia. Marzę dotąd o tym kominku.

— Cóż pięknego może być w komin-  
ku? Czy jest on podobny do mnie? —  
spytał bałwan śniegowy.

— Stanowi zupełne przeciwieństwo! —  
odparł pies. — Jest czarny jak kruk, po-  
siada szyję miedzianą i zjada tyle drze-  
wa, że mu ono bucha ogniem z ust. Spójrz  
zresztą uważnie, a zobaczysz przez okno  
suteryny ten kominiek, o którym marzę  
dotąd.

Bałwan śniegowy dostrzegł w istocie  
przez okno suteryny kominiek i doznał  
czegoś pośredniego pomiędzy strachem, a  
uczuciem sympatii.

— A czemuż opuściłeś swą panią, któ-  
ra cię tak kochała? — spytał.

— Zdarzyło się nieszczęście. Jeden  
z synków właścicieli, wielki nicpoń, chciał  
mi odebrać napoczętą dopiero co kość, u-  
gryzłem go więc, on zaś zaczął ryczeć.  
Za karę wzięto mnie na łańcuch i zоста-

łem tu już, gdyż opiekunka moja zmarła wkrótce po wypadku. Na chłodzie straciłem mój piękny, dawny, głos i teraz szczekam brzydko. Jestem stary i biedny, ale i tak nie zamieniłbym się z tobą za nic.

Ale bałwan śniegowy nie słuchał już psa. Patrzył bez ustanku na miedziany kominek, który miał tę samą co on wysokość.

— Chciałbym zejść do tych suteryn i oprzeć się o ten kominek! — powiedział. — Całe ciało moje trzeszczy od ochoty.

— Nie stanie się to nigdy i nawet dla twego dobra, gdyż samo zbliżenie do kominka byłoby dla ciebie śmiercią. Au! Au! Młodziki mają zawsze pragnienia bezrozumne.

Bałwan śniegowy patrzył przez cały dzień na kominek, a wieczorem światło

bijące zeń zachwycało go. Nagle otwarto na chwilę okno, żar zaróżowił pierś jego, on zaś krzyknął:

Ach! Zbyt wiele szczęścia. Umieram!

Przez całą długą noc marzył o komin-ku i przyszłości, gdy zaś rano mróz okrył szyby suteryny, bałwan śniegowy zesmutniał, nie mogąc patrzeć na ukochany komin.

— Zły to znak, że myślisz ciągle o tym, co jest klęską twoją! — powiedział pies. — Ach! Przyjdzie odwilż. Drze mnie strasznie w prawej nodze przedniej.

Przyszła nagła odwilż, mróz zmalął, a wraz z nim i bałwan śniegowy skurczył się i schudł. Nie żalił się jednak, a był to dlań zły znak. Pewnego ranka znikł i opadł, a ze środka wyjrzała rękojeść miotły i dwa polana, wkoło których chłopcy oblepili śnieg, budując go.

— Rozumiem teraz, — rzekł pies. —

czemu tak lubił kominek. Miał w sobie polana. Au! Au! Zresztą już po nim.

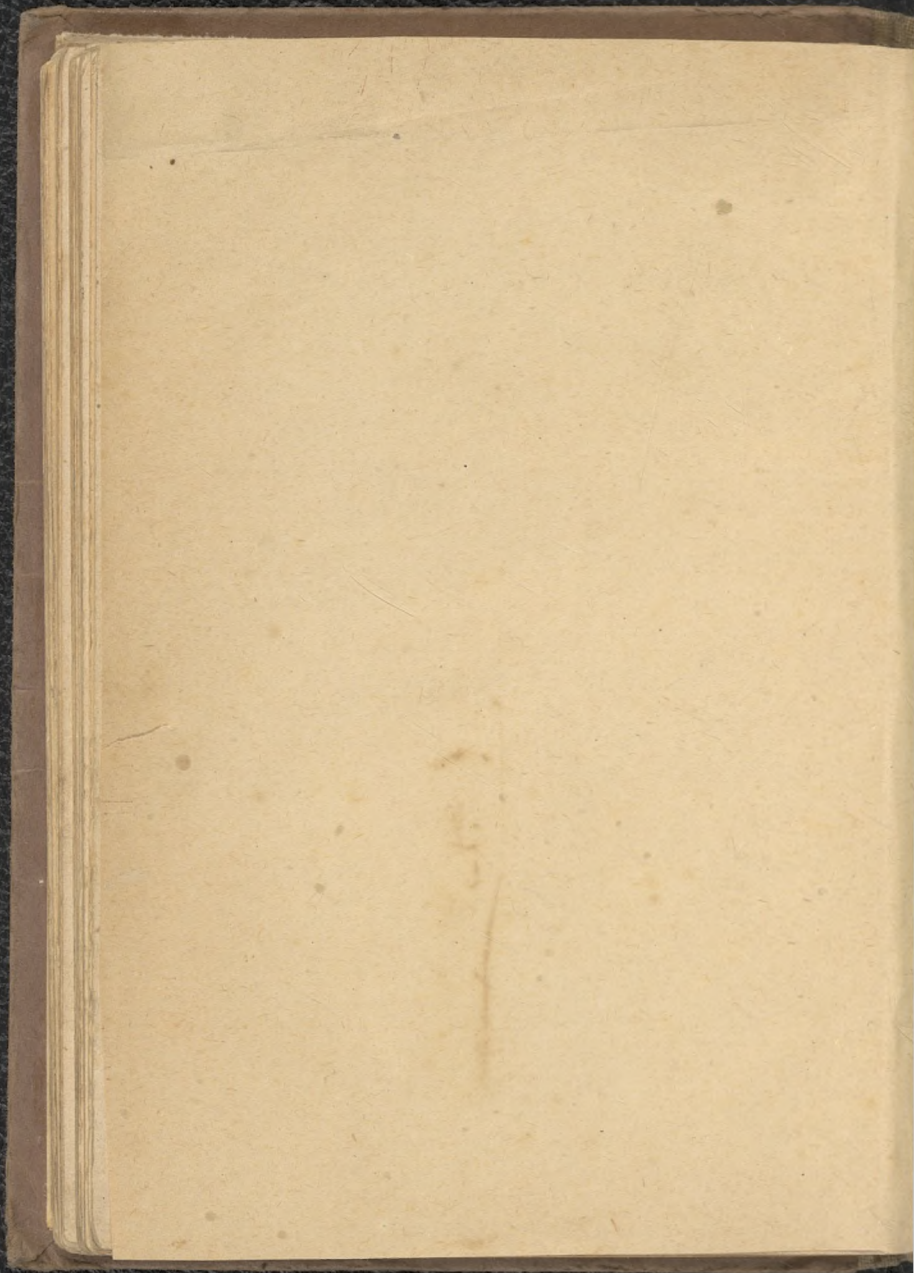
Teraz, ci sami chłopcy, którzy lepili z radością bałwana, tańczyli po ścieżkach, śpiewając ku czci wiosny, jaskółek i kwiatów, a o bałwanie śniegowym nikt nie myślał.



80







70/A49

D-135/  
10

825

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001027384228

3.116.050